

Zaufanie



Florian Śmieja

Dom noclegowy jednej z polskich organizacji w Londynie nazywał się ładnie: hospicjum. Był położony przy szykownym skwerze niedaleko stacyjki kolejki podziemnej linii Piccadilly. Mieścił się w pięknej dziewiętnastowiecznej kamienicy. Budynek był raczej szczupły w monumentalnym stylu całego sąsiedztwa.

Hospicjum dawało nie tylko znakomity, centralny adres pocztowy, ale oferowało ponadto studentom polskim niedrogie pokoje. Wprawdzie pomieszczenia były dwu i trzypokojowe, ale przy odrobinie cierpliwości i szczęściu można było wynająć jeden z trzech jednoosobowych pokoików.

Jeden z nich, pokój skromny, bez żadnych luksusów, umeblowany raczej po spartańsku zajmował Adam. Dostał go po Zupce, jego wieloletnim mieszkańcu.

Zupka był statecznym, sympatycznym blondynem z wypiekami na uśmiechniętej stale twarzy. Studia zaczął w Bolonii po demobilizacji z II Korpusu. Tam też zakochał się we włoskiej studentce, z którą utrzymywał żywą korespondencję.

Ukończywszy studia chemii w Londynie, zaczął rozglądać się za pracą i pilnie wertował oferty ogłaszane w angielskiej prasie. Posyłał swoje zainteresowanie piśmiennie do firm poszukujących chemików i cierpliwie czekał na wezwanie na kwalifikacyjną rozmowę.

Kiedy wreszcie przyszło z Midlandów zaproszenie z wielkiej cementowni, Zupka błyskawicznie zadziałał. Najpierw pożyczył pieniędzy, by kupić sobie elegancki garnitur. Chciał zrobić jak najlepsze wrażenie przy spotkaniu z przyszłym chlebodawcą. Pojechał pociągiem pierwszą klasą na znak, że siebie ceni.

W czasie rozmowy szerzej opowiedział o swoim życiu, także o zsyłce do Związku Sowieckiego. Wspomniał o zapamiętanej z tamtych czasów cementowni. Okazało się, że stary Anglik, który z nim rozmawiał, budował ją przed wojną dla firmy Portland.

W końcu padło pytanie o płacę. Zupka śmiało zażądał stosunkowo wysokiego wynagrodzenia. Dyrektor ze zdziwieniem zauważył, że petent chciał więcej od innych kandydatów nie mając żadnego doświadczenia, wszak starał się o pierwszą pracę. Elegancki Zupka odpowiedział spokojnie, że wprawdzie szukał pierwszej posady, ale myślał o stałej pozycji, o rzetelnej pracy, a nie o tymczasowym zatrudnieniu. Dostał stanowisko, o które się ubiegał, sprowadził wnet narzeczoną do Anglii, poślubił ją i oboje wyjechali na prowincję.

Jego pokój wziął Adam. Nie wiem, czy gdzieś studiował, utrzymywał się z dorywczych prac. To faszerował w fabryce pierogi, to zatrudniał się przy wyrobie lodów. Ponieważ od dłuższego już czasu zalegał z płaceniem komornego, zarządca domu inżynier Krótki, o rżęsach jak tropikalna ryba, po wielu ostrzeżeniach, wręczył mu wymówienie.

Za eksmitowanym nikt się nie ujął. Jedni go wcale nie znali, drudzy, znając, nie widzieli sensu w interweniowaniu. Nie pamiętam, czy wiedział o sprawie ks. Wiśniewski, kapelan akademicki, który mieszkał na parterze. Był osobą bystrą i

lubianą, spotykała się u niego tzw. złota młodzież, co nie chroniło go bynajmniej od spontanicznych sztubackich wybryków psotnych mieszkańców hospicjum, którzy np. włączali odkurzacz do kontaktu obok księżych drzwi na parterze, a w nocy czy nad ranem przekręcali na piętrze kontakt, który uruchamiał głośny sprzęt na dole.

Adama bliżej nie znałem, ale jego sprawa mnie dotknęła, sumienie obudził jego los. Współczułem mu. Nie rozumiałem potrzeby egzekwowania rygorystycznych przepisów, ścisłego szanowania reguł, wagi ostrzeżenia. Wydało mi się godniejsze błędzenie po stronie łaskawości i tolerancji. Wierzyłem na słowo i stanąłem przy boku ofiary nie interesując się bliżej przesłankami, którymi kierowali się zarządzający domem. Sam fakt, że instytucja nie była ściśle komercyjna, dodawał mi otuchy, aby zaapelować do sumień i zażądać cofnięcia młodemu człowiekowi nakazu opuszczenia domu. Wydawało mi się, że wezwanie do zaufania wbrew przesłankom i doświadczeniu, do ryzykowania raz jeszcze, było obowiązkiem przełożonych, że strata finansowa nie była współmierna z surowym potraktowaniem. Musiałem wtedy wyglądać jak zapalony misjonarz lub fanatyczny rzecznik spraw beznadziejnych.

Adam przez cały czas, kiedy ważyły się jego losy, zachowywał się nieporadnie, a przy tym trochę się jękał, każąc mi wierzyć, że wstawiam się za człowiekiem, który sobie sam nie potrafi pomóc, że brakuje mu swobody, by mógł jasno wyluszczyć źródła niepowodzenia. Moja elokwencja, czy powstały z powodu mojego wystąpienia ambaras, sprawiły, że nakaz opuszczenia mieszkania, odwołano. Dzięki mnie dano dłużnikowi jeszcze jedną szansę.

Zaraz po zapadnięciu przychylniej decyzji Adam przyszedł do mojego pokoju i długo i wylewnie dziękował mi za ingerencję i pomoc w jego sprawie. Uścisnąłem mu rękę. Pewnie czułem krzepiące zadowolenie ze swojego zachowania, z przeciwstawienia się opinii kierownictwa, z posłużenia się moralnym argumentem, ideologicznym szantażem, kiedy nic nie skutkowało.

Adam, ośmielony trochę, zaczął rozglądać się po moim pokoju. Spojrzał na stół, na półki z książkami. Zobaczył na wieszaku mój podniszczony letni płaszcz wymagający pilnego czyszczenia. Znam pralnię – odezwał się – Przyniosę wyczyszczony.

Nie oponowałem, aczkolwiek nie spodziewałem się żadnej wdzięczności oprócz słów podziękowania. Wyszedł z moim płaszczem, przepadł i więcej się w hospicjum nie

pokazał. Płaszczka też już nigdy nie zobaczyłem, choć strata materialna była minimalna i nie na tyle dotkliwa, by zachwiać skutecznie moim zaufaniem do drugiego człowieka.